MIŁOSZ FRYZEŁ

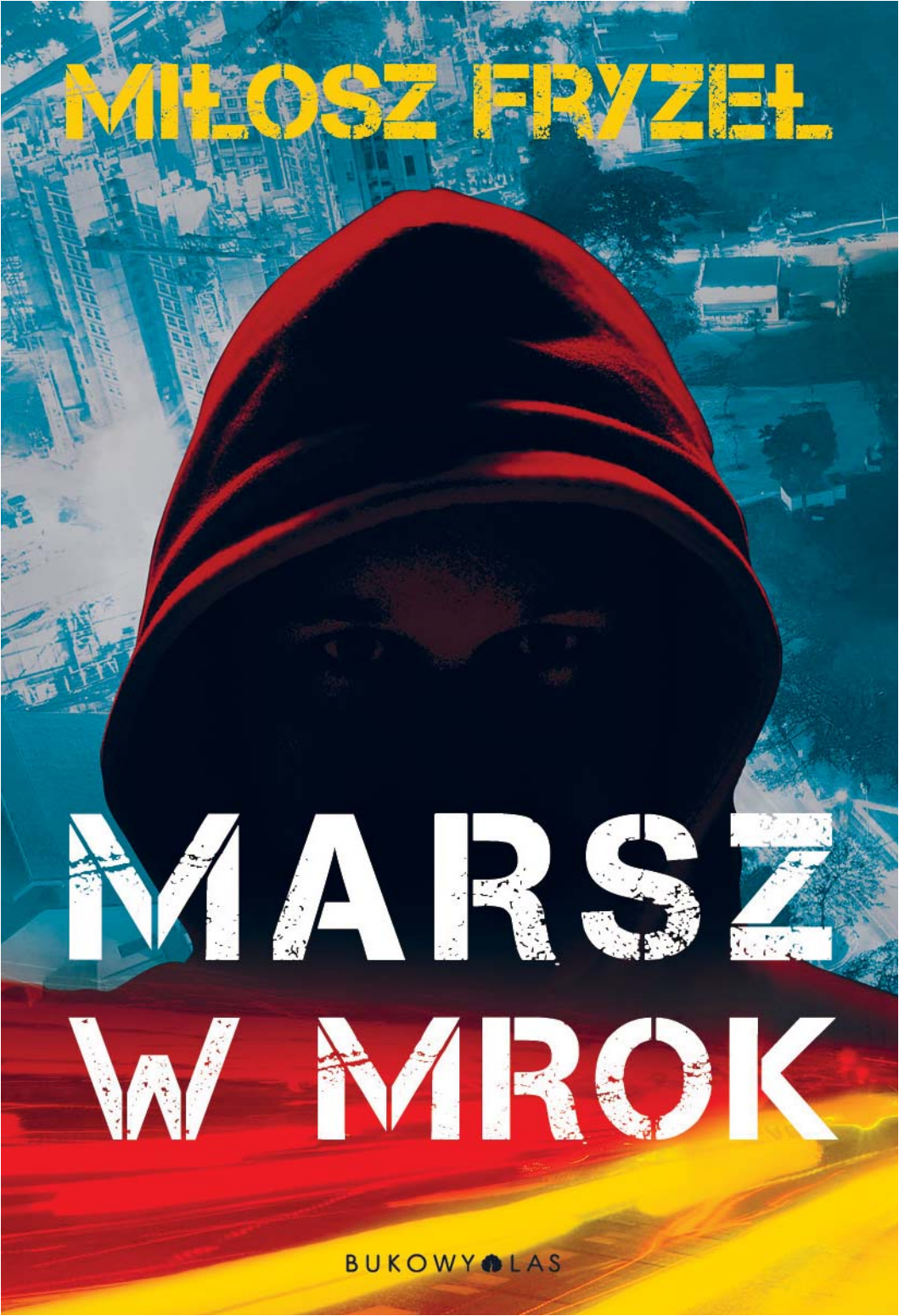

MARSZ W MROK

BUKOWY LAS

Dziwny kształt mignął nagle w kącie kadru, a Samarska nacisnęła „play”.

I wtedy go zobaczyła.

Musiał iść wzdłuż ściany, ponieważ wyszedł dosłownie spod kadru kamery.

Był ubrany w czarną, skórzaną kurtkę i ciemną bluzę, której kaptur założył na głowę. Średniego wzrostu, średniej wagi. Nie miał tatuaży na dłoniach. Samarska zapisała każde z tych spostrzeżeń w myślach, a krew pulsowała jej w skroniach.

Odwróć się!

Zatrzymał się obok kosza na śmieci, tyłem do obiektywu. Przez moment trwał w bezruchu, zupełnie, jak gdyby chciał się upewnić, że kosz jest pusty, albo jakby sprawdzał, co jest na jego dnie. Potem sięgnął do kieszeni kurtki i coś błysnęło przez sekundę w jego dłoni, aby zaraz potem zniknąć w śmieciach.

Nóż – pomyślała Samarska.

Mężczyzna ściągnął z pleców kurtkę i ją również wepchnął na dno kosza.

Odwróć się – krzyczała w myślach. – Odwróć się!

MARSZ W MROK

MIŁOSZ FRYZEŁ

MARSZ W MROK

BUKOWY LAS

Copyright © by Miłosz Fryzeł, 2019
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiejkolwiek formie.

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2019

ISBN 978-83-8074-231-4

Projekt okładki: Paweł Cesarz
Fotografie na okładce: John Beukelmann / Unsplash, Paweł Cesarz, chuttersnap / Unsplash
Redakcja: Olga Gitkiewicz
Korekta: Magdalena Fortuniak
Redakcja techniczna: Adam Kolenda

Wydawca:
Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.
ul. Sokolnicza 5/76, 53–676 Wrocław
www.bukowylas.pl

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin Sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl

Druk i oprawa: Druk-Intro S.A.

zgodnie z planem zgodnie z planem tym
przyznawane będą ból i łzy
naznaczonym zapisany strach
sny pozrywa i powróci w snach

Raz, Dwa, Trzy, „Zgodnie z planem
(może świt błyśnie)”

MOIM BRACIOM

1

Jego modlitwy były wysłuchiwane tylko w trakcie polowania. Niewielu ludzi znało słowa, które powtarzał w myślach – większość z nich i tak była martwa. Z tego świata zabrały ich już czas lub jego ręka. Stąpając ostrożnie wrocławskimi ulicami, znalazł się na terenie, który znał od pierwszych miesięcy życia – gdyby odwrócił głowę na zachód, zobaczyłby dach bloku, w którym mieszkał z rodzicami, gdy jeszcze uczył się chodzić.

Nikt nie poznał go wtedy, nikt nie znał go dekady później. Być może na przestrzeni lat było kilku, którym wydawało się, że zrozumieli jego serce, ale przecież byli to ci sami, którzy poznali również jego modlitwę. Nie. Do tej pory nikt go nie znał. Dopiero mieli go poznać. Już za chwilę.

Czy znał samego siebie? Do pewnego stopnia. Wiedział, że jest gotowy, jednocześnie nie rozumiejąc, do jak wielu rzeczy może się posunąć. Ile znieść. Jak wiele nocy nie przespać, zanim w końcu opadnie z sił i powie: Dość.

Miał również świadomość, że koniec wcale nie jest blisko. W przeciwieństwie do jego zwierzyny. Ona czuła, że nadchodzi.

Przyśpieszyła kroku dwadzieścia metrów wcześniej, kiedy na nierównym chodniku pisnęła gumowa podeszwa jego buta.

To dobrze, że się wystraszyła – pomyślał. – Jej serce zaczęło bić szybciej. Szybciej się wykrwawi.

Jej niskie obcasy uderzały miarowo o szary granit chodnika oświetlony przez pomarańczowe światło latarni. Zacisnęła dłoń na ramiączku torebki, ale nie sięgnęła po telefon. Nie odwróciła się. Po prostu szła dalej wiedziona instynktem samozachowawczym, który sugerował jej, żeby oddaliła się od możliwego zagrożenia. Co innego mogła zrobić? Była ofiarą jak każda inna, bała się konfrontacji z tym, co mogłaby zobaczyć, gdyby się odwróciła.

Nie szedł za nią byle zagubiony pijaczek.

To nie pracownik stacji benzynowej wracał do domu po nocnej zmianie.

Ktoś ją śledził. Nie był w tym na tyle dobry, żeby go nie zauważyła, ale też nie tak kiepski, żeby spłoszyć ją od razu.

Kiedy skończyły się latarnie, wyszła poza ich blask – w mrok miasta, który nie dodał otuchy jeszcze żadnej żywej duszy. To było tylko sto, może sto pięćdziesiąt metrów pogrążonej w ciemności drogi wzdłuż niskiego bloku. Musiała jedynie dojść do końca ślepej dla samochodów uliczki, aby wyjść znów na bezpiecznie oświetloną ulicę. Była już prawie w domu. Kilka kroków po tym, jak zostawiła światło za plecami, straciła zimną krew i w końcu się odwróciła.

Nie zobaczyła nikogo. Jedynie pustą ulicę na kilka chwil przed świtem.

Ruszyła dalej lżejszym krokiem, a napięte jak struna mięśnie pleców rozluźniły się na moment i przestały miażdżyć jej kręgosłup.

A potem pojawił się on.

Był zaledwie zarysem postaci w mroku, oddalonym od niej o może dziesięć metrów. Szedł z naprzeciwka, trzymając ręce

w kieszeni. Wąski chodnik zastawiony z prawej zaparkowanymi w poprzek samochodami i oddzielony od reszty świata niskim blokiem od lewej wydał się jej jeszcze węższy niż przed chwilą.

Czuła, jak krew uderza jej do głowy. Zarumieniła się, jej skronie pulsowały. Dłonie miała mokre, a podniebienie suche niczym papier ścierny, aż kleił się do niego język.

Nie widziała jego twarzy, dopóki nie znalazł się krok od niej, ale jego wygląd nie miał dla niej żadnego znaczenia. Minął ją jak wszyscy bezimienni przechodnie przed nim, z tą różnicą, że zostawił po sobie coś na zawsze. Wrażenie użądlenia tak bardzo przypominające muśnięcie apaszki tuż pod grdyką.

Złapała za mokrą szyję i zatrzymała się ostatni raz.

2

Dwie godziny później znalazł ją przypadkowy mężczyzna.

Szedł środkiem ulicy w kierunku niezagospodarowanej przestrzeni za parkingiem małego centrum handlowego, kiedy dostrzegł kątem oka niepokojący kształt. To był drobiazg, minimalny szczegół z rodzaju tych, które nie wiadomo czemu przyciągają wzrok. Odwrócił głowę w stronę zaparkowanych wzdłuż chodnika samochodów. Pomiędzy dwoma z nich zobaczył bladą rękę o umazanej czerwienią dłoni. Zastygł w pół kroku. Trzymetrowa smycz, na której trzymał swojego sznaucera, rozwinęła się do końca, poczuł mocne szarpnięcie w ramieniu.

– Proszę pani? – zapytał, chyba głośniej niż powinien.

Z każdym krokiem widział więcej szczegółów, których nie chciał oglądać.

Jej twarz i włosy w kałuży krwi, czerwone smugi na drzwiach jednego z samochodów, ułożone pod dziwnym kątem nogi w rozdartych rajtuzach. Połowicznie obdrapane z zielonego lakieru paznokcie.

– Proszę pani? – powtórzył.

Tylko kilka razy w życiu bardziej pragnął usłyszeć czyjąś odpowiedź, ale w tamtym momencie wszystkie te sytuacje wydały mu się błahe.

Rusz się. Rusz się, błagał bladą nieznajomą w myślach.

Dławiąc się powietrzem i przekleństwami, wyszarpnął z kieszeni telefon komórkowy i pierwszy raz w życiu wybił na nim tylko trzy cyfry.

Poinformował służby o tym, że ją znalazł. Spokojny głos dyspozytora zapytał o imię i nazwisko. Mężczyzna je podał, a potem usłyszał, że radiowóz oraz karetka są w drodze. Miał zostać na miejscu i niczego nie dotykać.

Szok to dziwne uczucie – nogi i mózg jako jedyne je odczuwają. Nie można postawić ani jednego kroku naprzód, zebrać jednej kompletnej myśli, kiedy znany wcześniej porządek zostaje zaburzony. Tak było w przypadku tego mężczyzny. Wpatrywał się w jej blade ciało, nie wiedząc, co właściwie dalej robić. Zadzwonił i co teraz? Czy powinien wypatrywać innych przechodniów, żeby oszczędzić im oglądania dowodów śmiertelności?

Jezu, dzieci.

Nie był ojcem, ale pomyślał o dzieciach z bloku obok. A jeśli ją zobaczą? Może powinien ją przykryć kurtką?

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jest przecież przed szóstą i żadne dziecko przynajmniej przez jakiś czas nie powinno pojawić się na ulicy.

O której wstają dzieci?

Miał trzydzieści lat, pierwszy raz widział martwą osobę, a w jego głowie panował mętlik.

Szarpnął psa do siebie. Ściągnął smycz najkrócej, jak tylko mógł, i trzymał zwierzę przy nodze, nie chcąc, by dotykało zwłok.

Nie myślał o śladach, włóknach ani czymkolwiek związanym z dobrem śledztwa. Po prostu z jakiegoś powodu czuł, że nie byłoby właściwe, gdyby jego pies dotknął ciała.

– Chodź tu, mały – powiedział ochrypłym głosem i wziął sznaucera na ręce.

Wtulił twarz w jego czarną sierść, po czym odwrócił się do kobiety plecami.

Z oddali słychać było echo sygnału rozbijającego się o betonową płytę miasta. Pierwszy radiowóz i jedyna karetka pojawiły się kilka minut po zgłoszeniu.

Pustka zaczęła się wypełniać funkcjonariuszami. Słońce było coraz wyżej.

Potem lekarz stwierdził zgon. Funkcjonariusze potwierdzili dyspozytorowi, że znaleźli ciało młodej kobiety, i poprosili o przysłanie wsparcia w postaci kolejnego radiowozu. Dyspozytor przetarł zaspane oczy i po upiciu kolejnego łyku ósmej już kawy na tej zmianie zabrał się do powiadomienia o zdarzeniu właściwych funkcjonariuszy. Odnalazł nazwisko prokuratora oraz nazwiska pracowników wydziału kryminalnego pełniących dyżur i po kolei wybrał ich numery. Lawina ruszyła.

Jeden z policjantów podszedł do mężczyzny z psem i zapytał go, czy dotykał czegokolwiek wokół ciała. Przechodzień zaprzeczył nerwowo.

Policjant, gładko ogolony facet o szerokiej szczęce i rutynie w głosie, odparł:

– Musimy spisać pańskie zeznania.

Mężczyzna tylko kiwnął głową i usiadł na tylnej kanapie radiowozu. Przez otwarte drzwi obserwował, jak policjanci zajmują się swoją pracą.

Po chwili pojawił się drugi radiowóz. Mundurowi rozdzielili się.

Czterech funkcjonariuszy przeszło najpierw ostrożnie wzdłuż chodnika oraz ulicy, szukając kolejnych śladów, aby określić zasięg oględzin miejsca. Ze wstępnych ustaleń wynikało, że morderstwa dokonano na ulicy. Ani na chodniku, ani na jezdni nie znaleziono dodatkowych śladów. Policjanci rozpoczęli zabezpieczenie techniczne miejsca zdarzenia.

Jeden z samochodów służbowych stanął na końcu ślepej uliczki, na której doszło do morderstwa, drugi na wjeździe do niej, obok karetki. Następnie wysoki mundurowy przeszedł się w poprzek jezdni z biało-niebieską taśmą policyjną, której jeden koniec zamocował na żywopłocie okalającym blok, a drugi zaczepił o siatkę ogrodzenia parkingu po drugiej stronie ulicy. Sto metrów dalej zrobił to samo.

Jego partner ustawił się przed taśmą od strony skrzyżowania, a koledzy z drugiego wozu przeszli na przeciwległą stronę odgrodzonego terenu.

W tym samym czasie ratownik medyczny przystąpił do wypisania karty informacyjnej o okolicznościach stwierdzenia zgonu.

Zostało im jedynie czekać na dalsze rozkazy prokuratora.

Dwóm z nich chciało się palić, wszyscy potrzebowali kawy. Dwa termosy w dwóch radiowozach zdawały się być jedynym, co miało pozwolić im dotrwać do końca zmiany rozpoczętej trzydzieści minut wcześniej.

Jeden z nich spojrzał na zegarek. Było wpół do siódmej. Na szczęście dla wszystkich miasto miało być przejezdne jeszcze przez jakieś czterdzieści pięć minut. Śledczy i prokurator powinni pojawić się stosunkowo szybko.

Policjant miał piasek w oczach i ciężkie od niewyspania dłonie. Dla zabicia czasu i rozluźnienia świadka zagadnął go o psa. Pytał, jak się wabi, jakiej jest rasy, ile ma lat. Nie obchodziły go zbytnio odpowiedzi, ale nie potrafił tak po prostu patrzeć na skulonego mężczyznę, który wsadził pod bluzę małe zwierzę. Zawsze żal mu było ludzi, którzy zobaczyli to, na co nie byli gotowi.

Nadal panowała względna cisza, gdy czarna toyota yaris odrobinę za szybko weszła w zakręt i zjechała z Komandorskiej w Studzienną, przeskakując tylnym kołem po krawężniku obok przejścia

dla pieszych. Wyłożona na jezdni kostka zagrała nieprzyjemnie w uszach mundurowego, gdy kierowca energicznie zahamował kilka metrów dalej. Auto zatrzymało się niedbale, pod kątem do taśmy policyjnej, a w powietrzu rozniósł się zapach braku szacunku dla klocków hamulcowych służbowego samochodu.

Funkcjonariusz ciężko przełknął gulę śliny. Znał ten samochód oraz detektyw, która go prowadziła. Teraz sprawiała wrażenie, jakby rozmawiała z kimś przez zestaw głośnomówiący, powoli kręcąc przy tym głową i rozglądając się wokół.

Nie spojrzała w jego stronę przez brudną szybę samochodu, gdy zgasiła silnik.

– Wrocław Krzyki – powiedziała, a zamknięte wewnątrz auta słowa zawisły na moment w powietrzu. – Studzienna, boczna Komandorskiej. Obok jest centrum handlowe Arena, średniej wielkości sklep ze stoiskami pojedynczych sprzedawców – sprawdź kamery. Po mojej prawej wjazd na parking sklepu. Szlaban, brak bramy. Morderca mógł tędy przejść, ale tylko piechotą. Pięć minut na północ stąd jest Dworzec Główny, w tej samej odległości Arkady. Pięć minut na zachód – Sky Tower. Skrzyżowania w tych miejscach są wyposażone w kamery. Sprawdzić. Jeżeli poszedł na południe, mógł minąć Aquapark, też około pięciu minut piechotą stąd. – Przerwała na moment, aby wziąć głębszy oddech. – Kiedy wyszłam z mieszkania, był wschód słońca.

Wyszeptała ostatnie zdanie i dała słowom powoli zagnieździć się w umyśle, po czym wyłączyła dyktafon w komórce. Jeszcze przez moment wpatrywała się pustym wzrokiem zmęczonego człowieka w swoją dłoń na kierownicy. Palce o niepomalowanych od lat paznokciach pobladły od zbyt mocnego zaciskania. Rozluźniła dłoń i przez moment udawała, że rozsmarowuje plastelinę pomiędzy palcami. Odrętwienie palców po chwili

przeszło. Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę czekającego na nią umundurowanego funkcjonariusza.

Miała kruche rysy twarzy kobiety, z którą czas starał obejść się najdelikatniej, jak tylko potrafił, choć nie ułatwiała mu zadania. Nie malowała się. Nieład na jej głowie mógłby sugerować, że starała się jak najszybciej dotrzeć na miejsce zdarzenia. Biorąc pod uwagę styl jej jazdy oraz niedbały ubiór, można by nawet pomyśleć, że rzeczywiście gnała tutaj na złamanie karku. To jednak nie byłaby prawda. Julia Samarska była w skórzanej kurtce, starym wełnianym swetrze, leginsach i sportowych butach, ponieważ właśnie to miała na sobie w chwili otrzymania wezwania. Po tym, jak odebrała telefon, zabrała jedynie z blatu biurka odznakę, portfel i kluczyki do samochodu. Wyszła z domu w tym samym ubraniu, które nosiła od dwudziestu czterech godzin. Jej styl (albo „rozchełstanie", jak powiedziałaby jej matka) spowodowany był w równiej mierze arogancją, jak i ustawicznym brakiem snu. W ostatnim czasie bezsenność dręczyła aspirant sztabową Samarską coraz bardziej. Odbijało się to nie tylko na wyglądzie, ale też na wynikach jej pracy. Bezsenność spowodowana pracą, stresem i nieustającym poczuciem zagrożenia, które manifestowało się w coraz to nowych aspektach jej zachowania.

Samarska jeszcze zanim wstąpiła do policji, ufała światu na tyle, aby przed przejściem przez jednokierunkową ulicę rozejrzeć się w dwie strony. Jednak w ostatnich miesiącach służby straciła wątłe przekonanie, że przynajmniej w czterech ścianach własnego mieszkania jest bezpieczna.

– Cześć, Czarek – rzuciła, związując brązowe jak mokre drewno włosy z tyłu głowy.

Mundurowy kiwnął jej porozumiewawczo głową.

– Cześć.

– Co mamy?

Mężczyzna przełknął wszelkie kąśliwe uwagi dotyczące wyglądu wyższej stopniem kobiety i powiedział oschle:

– Kobieta. Około trzydziestki. Rana kłuta szyi. Obeszliśmy teren z chłopakami i poza widocznymi śladami wokół denatki nie znaleźliśmy nic.

Samarska jęknęła, powoli przechylając głowę do lewego i prawego ramienia, aż strzeliło jej nieprzyjemnie w kościach. Sięgnęła do kieszeni po odznakę i przewiesiła ją przez szyję.

Nie licząc na to, że policjant doda kilka kolejnych monosylab, uniosła nad głową biało-niebieską taśmę i ruszyła w kierunku ciała.

I niemal je minęła.

Odkąd przestała sypiać i nosić szkła kontaktowe, widziała coraz gorzej. Miała obniżony próg bólu, a co za tym idzie, chroniczne bóle mięśni i wahania nastrojów. Dłonie drżały jej ze zmęczenia w nieregularnych, kilkuminutowych seriach.

Odsunęła się od denatki o krok. Wyciągnęła z kieszeni kurtki paczkę papierosów, wsadziła pomiędzy wargi nieodpalonego szluga i pełnym skupienia spojrzeniem zaczęła analizować miejsce zdarzenia.

Młoda kobieta, na oko trzydzieści kilka lat, leżała na boku pomiędzy dwoma zaparkowanymi samochodami. Upadła tak, że od pasa w dół wciąż leżała na chodniku, na którym została napadnięta, tors zaś spadł z krawężnika i wylądował na granitowej kostce ulicy dwadzieścia centymetrów niżej, dlatego jej stopy znajdowały się wyżej niż głowa.

Miała na stopach trampki, a na nogach rajtuzy, podarte najprawdopodobniej od wierzgania w agonii po chropowatej płycie chodnika. Policjantka dostrzegła kilka kropel krwi na butach i wokół nich. Koszulka z logo Sex Pistols na piersi ofiary przesiąkła krwią. Szpary pomiędzy kostkami ulicy również zabarwiły

się na czerwono. Blade ręce ofiary były całe w zakrzepłej krwi, aż do połowy przedramienia. Gdy jej gardło zostało podcięte, kobieta złapała się za szyję, próbując zatrzymać proces uchodzenia z niej życia.

Samarska skupiła swe myśli na ranie. Poprzeczna. Gładka. Mogła mieć najwyżej dziesięć centymetrów. Wyglądała na precyzyjne cięcie, nie jak kolejne rzeźnickie dźganie, z którym wydział Samarskiej miał najczęściej do czynienia.

Cienki papieros zwisał spomiędzy jej warg, kiedy zastanawiała się nad przebiegiem wydarzeń sprzed kilku godzin.

Morderca znalazł się naprzeciwko ofiary? Czy zaszedł ją od tyłu? Unieruchomił? Rozejrzała się po chodniku. Czy obserwował, jak umiera? Stał nad nią i widział, jak stara się zatamować krwawienie palcami i rękami brudnymi od własnej krwi próbuje oprzeć się o drzwi zaparkowanego samochodu?

W myślach odtwarzała scenę, która się tutaj najprawdopodobniej rozegrała. Nie dźgał jej, po prostu poderżnął gardło. Miał pewność, że zadana rana okaże się śmiertelna? Czekał na nią czy ją śledził? Może szli razem? Dlaczego zdecydował się zabić akurat w tym miejscu?

Samarska wyciągnęła z kieszeni komórkę i nagrała serię pytań do późniejszego odsłuchania. Przeszła ulicę wzdłuż, rozglądając się za możliwymi śladami pozostawionymi przez mordercę. Żuła powoli papierosowy filtr, rozglądając się dookoła.

Po jej prawej, w miejscu, gdzie ślepa uliczka przechodziła w zielony skwer, dwóch funkcjonariuszy już odganiało okolicznych żuli. Dalej było szerokie, czteropasmowe skrzyżowanie, gdzie rozpoczynała się ulica Ślężna. Obok mieściła się jakaś szkoła, Samarska nie była nawet pewna, jakiego rodzaju. Jeszcze dalej była ulica Dyrekcyjna i szpital, w którym się urodziła. Nie czuła nic, gdy spojrzała w tamtą stronę.

Niezgrabnym krokiem podeszła do policjanta. Czekał na nią wraz z przechodniem, który znalazł ciało.

– Dzień dobry, aspirantka sztabowa Julia Samarska. Chciałabym zadać kilka pytań.

Mężczyzna przedstawił się i zrelacjonował przebieg wydarzeń od momentu, kiedy się obudził, do chwili, gdy zadzwonił pod numer alarmowy.

Podziękowała i poprosiła go o podanie dokładnych danych osobowych. Później podeszła do dwóch mundurowych na końcu ulicy i kazała im porozmawiać z mieszkańcami bloku, pod którym stali. Być może ktoś usłyszał coś nietypowego – na przykład kłótnię pod oknem. Czuła się jak skończona kretynka, kiedy mówiła kolejny raz tę samą formułkę, ale nie miała siły na kreatywność.

Wróciła do funkcjonariusza, którego przez pomyłkę nazwała Czarkiem.

– Gdzie reszta? – rzuciła, mijając go.

– Powinni zaraz być – odparł zmieszany.

Barczysty facet o twarzy buldoga spuścił wzrok, gdy Samarska oparła się plecami o swój samochód i westchnęła ciężko. Wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę i w końcu odpaliła papierosa. Filtr był już całkiem mokry. Pochyliła głowę. Zamknęła oczy. Myślała. Poplątane zdania przelatywały przez jej głowę jak nitki makaronu przez za duże sito. Ledwo pamiętała ostatni tydzień. Nie była pewna, gdzie właściwie była przez cały ten czas. Czy spotkała się z kimś chociaż na kawę? Właściwie które prowadzone przez nią śledztwa wciąż były otwarte? A może nic nie robiła przez ostatni tydzień i dlatego nie mogła sobie przypomnieć niczego znaczącego? Nie, to było mało prawdopodobne.

Nie zasypiaj. Nie teraz – pomyślała.

Skupiła całą uwagę na tablicach korkowych zawieszonych w jej mieszkaniu. Zamknęła oczy i zobaczyła pod powiekami

trzy plansze rozwieszone na południowej ścianie salonu. W wyobraźni przeskanowała wzrokiem wszystkie zapisane strony i zdjęcia, które na nich wisiały. Wycinki z gazet, fotografie z akt sądowych i albumów rodzinnych. Strony tekstów z książek i gazet, skany służbowych i prywatnych notatek oraz jej własne spostrzeżenia spisane na żółtych samoprzylepnych karteczkach. Gdzieś tam była odpowiedź. Była blisko. Zrobili to, wiedziała to już na pewno. Musieli to zrobić.

Inaczej to wszystko nie miało sensu. Jej życie nie miało sensu, jeżeli się myliła.

Lewa noga lekko się pod nią ugięła, ale Samarska od razu oparła się o maskę samochodu i złapała równowagę. Nie powinna była stać całą noc przy tablicy i czytać. Powinna próbować zasnąć i się pozbierać, ale sen przychodził do niej tak rzadko, że nie pamiętała, kiedy ostatnim razem była przytomna krócej niż trzydzieści godzin. Znów czuła się, jakby całą noc przesiedziała w imadle.

Przelotnie pomyślała, że mogłaby położyć się przynajmniej na pięć minut w swoim samochodzie, ale akurat wtedy pojawił się jej partner.

Mężczyzna z bliznami na czole i lewym policzku niemal bezszelestnie zaparkował, a potem wysiadł z samochodu i spokojnym krokiem ruszył do niej z niesfornym uśmiechem na ustach. Niósł w rękach dwie kawy kupione po drodze na stacji benzynowej. Obie czarne i bez cukru. Obie dla niej.

Daniel Delner miał trzydzieści sześć lat. Tak samo jak jego partnerka był ubrany w ciuchy, które miał na sobie dzień wcześniej. Samarska to zauważyła, lecz powstrzymała komentarz.

Po jego wypoczętej twarzy i spokoju, z jakim się poruszał, łatwo było wywnioskować, że przespał większą część nocy, a nie ślęczał nad aktami spraw.

Zaciągnęła się papierosem ostatni raz, po czym wypuściła dym kącikiem ust.

– Miałaś rzucić – powiedział, stając przed nią.

– Palę cienkie, więc to tak, jakbym rzuciła – odparła, nie odwracając się w jego stronę.

– Chodzi mi o to, że znowu dmuchnęłaś mi w twarz.

– A… Przepraszam.

Zgniotła papieros pod piętą, po czym odebrała od niego pierwszy papierowy kubek.

– Gorąca – jęknęła i odstawiła kawę na dach samochodu.

Delner wzruszył ramionami.

– Ty jesteś wystarczająco zimna.

Posterunkowy uśmiechnął się pod nosem i odwrócił nieznacznie głowę, aby aspirant tego nie zauważyła.

– Dupek – rzuciła w stronę Delnera i wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa tylko po to, żeby zrobić mu na złość.

– Obudziłaś się już? – zapytał niewzruszony obelgą.

– Nigdy nie będziesz tak przytomny jak ja teraz.

Delner również odstawił kawę na dach jej samochodu i schował dłonie do kieszeni spodni. Spojrzał z góry na o głowę niższą partnerkę.

– Musisz zacząć sypiać – powiedział.

– Pieprzyć to.

– Wiem.

– Jestem już blisko.

– Tylko omdlenia.

W jego głosie słyszała wszystko to, czego pragnie człowiek w rozpaczy, czyli zrozumienie i dobre intencje, ale nie obchodziło jej to już zbytnio. Nie musieli się o nią martwić. Właściwie, powinni byli przestać dawno temu. Dokładnie w tym samym czasie, kiedy przestali przejmować się ważniejszymi rzeczami, pomyślała.

Mlasnęła z niesmakiem po kolejnym zaciągnięciu się slimem.

– Zapytasz mnie w końcu, „co mamy?”, czy już przestałeś udawać policjanta?

Przez moment miał nawet zamiar jej odpowiedzieć, ale ugryzł się w język i przełknął niewypowiedziane słowa jak truciznę. Z niekrytą niechęcią, ale i satysfakcją, że już po wszystkim.

Widział, że Samarska wypala się na jego oczach jak wszystkie te papierosy pomiędzy jej palcami, ale nie miał pojęcia, jak jej pomóc. Przez lata pracy w firmie naoglądał się wystarczająco wielu wypalonych gliniarzy, żeby mieć dość tego widoku, ale też wciąż się nie nauczył, jak pomagać im w takich sytuacjach. W chwilach, gdy opadają swobodnie na dno butelki czystej albo zaczynają niszczyć swoje prywatne życie. Dodatkowym problemem z Samarską był fakt, że nie robiła ani pierwszego, ani drugiego. W przeciwieństwie do wszystkich nie piła i w przeciwieństwie do większości nie miała nikogo, ani męża, ani byłego męża, ani dzieci, ani byłych dzieci.

Poza tym kolejna w tym tygodniu uwaga, że tylko udaje policjanta, odebrała Delnerowi resztkę chęci do rozmowy, którą właśnie prowadzili.

Jeszcze pół roku temu nie było w niej jadu, pomyślał, odchodząc w stronę ciała.

Wrażenie, że ją zawiódł, pojawiło się jak zwykle na moment i przyszło z nieprzyjemnym dreszczem w okolicach karku.

Przystanął pomiędzy samochodami w tym samym miejscu, co jego partnerka kilkanaście minut wcześniej. Przejechał dłonią po krótkich siwych włosach na skroni, zastanawiając się, czego nie widział. Wiedział, że był gorszym śledczym niż ona i nie stanowiło to dla niego problemu, dopóki wszystko między nimi grało. Teraz miał wrażenie, że każda sprawa to próba podkopania go, zrobienia z niego błazna na komendzie lub zwyczajna

podpucha, żeby pośmiać się z jego niekompetencji. Delner nie należał do ludzi, którzy przejmowali się opinią innych, jednak ostatnio granica jego tolerancji dla przytyków Samarskiej zaczęła się przesuwać. Nie nastąpił jeszcze moment krytyczny, ale też nie puszczał już wszystkiego mimo uszu, a najdotkliwsze uwagi zapisywał w pamięci.

Na szczęście nie musiał kolejny raz poddawać się jej sprawdzianowi. Na miejscu pojawił się nowy samochód.

Technik kryminalistyki Patryk Walkiewicz kroczył w stronę Delnera, dźwigając pod ręką ciężką torbę, którą położył u stóp śledczego. Niski mężczyzna przed czterdziestką, który wyłysiał już całkowicie na czubku głowy, a resztę włosów na potylicy i skroniach nosił krótko przystrzyżone, posłał śledczemu niewyspane spojrzenie.

– Cześć. – Przywitał się, podając dłoń.

– Cześć.

– Julka wygląda coraz gorzej.

– Wiem.

Walkiewicz pochylił się nad swoją torbą, z której wyciągnął aparat. Spokojnie obszedł miejsce zdarzenia, a następnie zaczął obfotografowywać zwłoki z punktu, w którym stał Delner.

Samarska zgasiła kolejnego papierosa i dołączyła do nich, gdy technik przeszedł na chodnik i zaczął wykonywać zdjęcia pod nowym kątem.

Kiedy się zbliżyła, Delner odchrząknął i powiedział:

– Leży na torebce.

Walkiewicz podniósł głowę.

– Co?

– Podejrzewam, że jej torebka nie jest większa niż twój czy mój portfel, ale ona na niej leży. Spod kurtki nieznacznie wystaje ramiączko.

Delner spojrzał z uśmiechem na Samarską, ale nie skomentowała spostrzegawczości swojego partnera.

– Nic nie powiesz? Żadnego uszczypliwego tekstu? – zapytał, nie kryjąc satysfakcji.

– Na dziś wystarczy mi pierdół – odparła chłodno.

Nie dała po sobie poznać, że umknął jej ten szczegół. Nie chciała, by się zorientował, że wciąż dość mocno liczyła na to, iż morderstwo mogło być dokonane na tle rabunkowym.

Walkiewicz nie zwracał już na nich uwagi. Po kilku seriach pstryknięć schował aparat z powrotem do torby.

– Daktyloskopia? – zapytał.

Samarska przytaknęła.

– Sprawdź auta od strony chodnika. Może oparł się o nie, gdy próbował się nad nią pochylić.

Technik zabrał się do roboty. Kiedy zaczął kręcić pędzelkiem po masce pierwszego samochodu, na końcu ulicy pojawił się prokurator Kozar, a zaraz po nim na miejsce dojechał doktor Liszewski.

– Kapela w komplecie – rzuciła pod nosem Samarska na ich widok.

Prokurator miał wiecznie czerwoną twarz i małe oczy, które zdawały się patrzeć podejrzliwie nawet na ukochanych ludzi. Był wysokim, okrągłym mężczyzną, który marynarkę zapinał tylko na jeden guzik, a swoje stopy ostatni raz oglądał, gdy w reprezentacji Polski grał czarnoskóry zawodnik.

Z kolei Liszewski prawdopodobnie w tym samym czasie zjadł swój ostatni pełny posiłek.

Głowa doktora przypominała wyżutą gumę balonową, na której czubku ktoś przylepił kilka kłaków. Wiecznie zgarbiony mężczyzna niósł w chudych rękach torbę, unikając wzroku Delnera i Samarskiej.

– Cześć, Julka – przywitał się Kozar, po czym podał Delnerowi dłoń o palcach jak parówki. – Daniel, protokolant wybrany?

Delner pokiwał głową. Od czasu, gdy Samarskiej dość poważnie zaczęły trząść się ręce, to na niego za każdym razem spadał obowiązek protokołowania przebiegu oględzin zwłok. Śledczy odsunął się od Kozara i pstryknął kilkakrotnie długopisem. Wyciągnął z kieszeni formularz i rozłożył go na dachu samochodu zaparkowanego obok.

Nie istniały słowa, którymi precyzyjnie można było opisać, jak czuł się prokurator na widok policjantów, ale najbliższym określeniem jego odczuć mogłoby być zadowolenie. Prokurator Kozar był zadowolony. W połowie.

Z jednej strony lubił pracować z Delnerem, ale nienawidził użerania się z Samarską, która uwielbiała zadawać pytania nawet po zamknięciu sprawy. Z drugiej strony był zadowolony, że na miejscu znajdowała się właśnie aspirant, która jeszcze w życiu nie przeprowadziła niechlujnego śledztwa. Tak, prokurator Kozar był zadowolony w połowie.

Poprawił nieuczesaną siwą grzywkę, po czym zaplótł ręce na tłustej piersi i dał Liszewskiemu przejść do ciała.

Lekarz medycyny sądowej również przywitał się z detektywami i technikiem, a potem od razu założył lateksowe rękawiczki. Upewnił się, czy Walkiewicz wykonał już wymagane do dokumentacji fotografie, nałożył wiszące u szyi okulary na nos i stanął nad ofiarą.

Smętna twarz zaspanego eksperta nie zdradzała żadnych emocji, gdy pochylił się nad ciałem trzydzieści lat młodszej kobiety i zaczął oględziny zwłok.

Przechylił lekko głowę denatki, żeby przypatrzeć się ranie pod jej brodą, a następnie odwrócił kobietę na plecy.

– Jedno precyzyjne cięcie – powiedział w tej samej mierze do siebie, jak i do funkcjonariuszy obok. – Cięcie, nie pchnięcie. Nie powiedziałbym, że zbyt mocne, ale skuteczne. Jest praworęczny, chyba. Raczej na pewno. Otarcia i siniaki na rękach i nogach najprawdopodobniej powstały w wyniku upadku oraz późniejszych ruchów ofiary. Na pewno nie złapał jej za szyję ani nadgarstki. – Zatrzymał się na moment. Zmienił pozycję i sprawdził czubek głowy ofiary. – Nie wygląda też na to, żeby szarpał ją za włosy.

– Czas zgonu? – zapytała Samarska.

Doktor lekko przechylił głowę.

– Straciła dużo krwi, a to ważne. Plamy opadowe są niemal w pełni wykształcone, ale byłbym ostrożny. Dwie, może trzy godziny temu.

Podniósł z ziemi małą skórzaną torebkę, której pasek wciąż oplatał ramię ofiary. Rozpiął zamek i zajrzał do środka.

– Portfel, telefon, klucze – wyliczył.

Śledczy wymienili spojrzenia. Czuli, że właśnie nadszedł moment, który im obojgu się nie podobał. To nie było morderstwo z pasji – zadźganie przez męża lub kochanka – ani na tle rabunkowym.

Delner założył na dłonie lateksowe rękawiczki i przejął od Liszewskiego mały czarny portfel z logo, którego nigdy nie widział. Otworzył go i przejrzał zawartość. Dwie karty kredytowe i gotówka były na miejscu. Podobnie jak dowód osobisty, prawo jazdy, karnet na siłownię i karta miejska.

Dwoma palcami wyciągnął delikatnie dowód tożsamości ofiary.

– Marzena Polak-Alek – powiedział pozostałej dwójce.

– Mężatka – dodał lekarz, podnosząc jej prawą dłoń, na której palcu serdecznym znajdowała się obrączka.

– Tak. Dwa nazwiska dość dobitnie mi to zasugerowały – prychnął śledczy.

– Po rodzicach też można mieć dwa – jęknął Liszewski takim głosem, jakby Delner zbił go właśnie kablem.

– Czyli wiemy, dokąd idziemy – odezwała się nagle Samarska.

Delner i Kozar spojrzeli w jej stronę.

– Jest mężatką. A teraz spójrz, gdzie mieszka – rzuciła, wskazując na trzymany przez jej partnera kawałek plastiku.

Delner odczytał adres zamieszkania ofiary.

– To minutę spacerkiem stąd.

Śledczy zwrócili się w stronę prokuratora.

– To jak robimy? – zapytała Samarska.

Kozar spojrzał najpierw na zegarek, potem na nich, a na końcu na Walkiewicza, który wciąż machał pędzlem w poszukiwaniu odcisków palców.

– Masz coś? – zainteresował się.

Technik odwrócił się w ich stronę, a jego mina mówiła dobitnie wszystko.

– Wątpię. Póki co kilka zestawów, ale wyglądają jak klasyczny układ palców przy trzymaniu maski po jej podniesieniu. Prawie na bank nikt nie oparł się o te auta dziś w nocy, czy to tracąc równowagę, czy żeby się pochylić nad ofiarą.

Stukilogramowe ciało prokuratora też w końcu przeszedł ten sam dreszcz, którego doświadczyli policjanci chwilę wcześniej.

Kozar dał sobie moment na analizę sytuacji, po czym odezwał się do śledczych:

– Bierzcie się za męża. Ja zostanę tu do końca z Walkiewiczem oraz Liszewskim i zobaczymy się na identyfikacji.

Delner oddał technikowi portfel, a ten schował go do plastikowej torebki na dowody i opisał.

– Kamery? – wtrąciła się Samarska.

Prokurator, który zaczął już coś pisać na swoim smartfonie, zastygł w pół ruchu.

– Tak. Jasne. Dobry pomysł – powiedział.

Śledczy przeszli do wciąż stojącego przy taśmie mundurowego, do którego zdążyło już wrócić dwóch jego kolegów.

– Nic nie mamy. Nikt nic nie widział ani nie słyszał – oznajmili.

– Nieważne – mruknęła Samarska, po czym wskazała na średniej wielkości sklep, obok którego parkingu się znajdowali. – Sprawdźcie nagrania z kamer z ostatnich czterech godzin. Parking jest monitorowany, jadąc tu, widziałam też bankomat i kamerę nad głównym wejściem. – Obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni. – To samo z kamerą ze skrzyżowania Komandorskiej ze Swobodną – dodała i zrobiła gest w stronę najbliższego skrzyżowania Dyrekcyjnej i Ślężnej. – I tutaj. Nagrania chcę mieć na biurku Delnera do piętnastej.

– Ta, super – rzucił pod nosem jej partner.

Samarska go zignorowała. Spojrzała po twarzach mundurowych, szukając w ich oczach znaków zapytania.

Funkcjonariusze stanęli z powrotem na swoich miejscach przy taśmie, a Samarska i Delner weszli na chodnik i ruszyli w kierunku ulicy Sanockiej.

Polub nas
na Facebooku

KUP TERAZ

swiatksiazki.pl

fot. Paweł Cesarz

MIŁOSZ FRYZEŁ

urodzony w 1993 roku. Absolwent socjologii na Uniwersytecie Wrocławskim, mieszka i pracuje we Wrocławiu. Autor powieści, opowiadań, scenariuszy. Przyznaje się do inspiracji twórczością takich pisarzy, jak Cormac McCarthy, James Ellroy czy Dennis Lehane. Jego debiut literacki *Marsz w mrok* jest początkiem cyklu powieściowego o parze detektywów Samarskiej i Delnerze.

@miloszfryzel

MARSZ W MROK

Cięcie było jedno, precyzyjne. Zwłoki kobiety znalazł o świcie przypadkowy przechodzień. Podkomisarz Daniel Delner oraz jego partnerka, sierżant sztabowa Julia Samarska rozpoczynają śledztwo, którego przebieg utrudniają ich osobiste problemy. On tkwi w długoletnim romansie, coraz bardziej zagrażającym jego małżeństwu, a ona żyje bez snu, popadając w paranoję związaną z tajemnicą sprzed lat.

Choć bardzo szybko aresztują mordercę, to po kolejnych przesłuchaniach sprawa komplikuje się bardziej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Każda uzyskana od podejrzanego odpowiedź prowadzi do nowych pytań. Policjanci rozpoczynają rozgrywkę z przebiegłym osobnikiem, nie mając pojęcia, w jak trudnej sytuacji się znaleźli ani jak wiele poświęceń będzie od nich wymagać to śledztwo. Pozornie proste dochodzenie przeradza się w poszukiwanie zaginionej kobiety, sprawę serii brutalnych zabójstw oraz próbę odkupienia win przez ludzi, którzy popełnili zbyt wiele błędów.

„Miłosz Fryzeł zabrał mnie w podróż przez ogarnięty mrokiem Wrocław. Dobrze znam to miasto, ale w czasie lektury co chwilę skręcałam w ślepy zaułek. Bo tutaj i policjanci, i przestępcy mają swoje ciemne obsesje. Mocny, klimatyczny kryminał".

Olga Gitkiewicz, autorka *Nie hańbi* i *Nie zdążę*

„Takie kryminały lubię! Wciągająca intryga, mroczna atmosfera, skomplikowane relacje między głównymi bohaterami. Do tego wartka akcja i nieprzewidywalny zabójca w tle. Bardzo gorąco polecam!"

Mieczysław Gorzka, autor *Martwego sadu* i *Iluzji*

ISBN 978-83-8074-231-4

9 788380 742314

Cena: 34,90 zł
(w tym VAT)

Patronat medialny

Radio RAM 89,8

www.bukowylas.pl

Polub nas na Facebooku